

Skąd się biorą obywatele?

28 sierpnia 2013

Gdyby serio potraktować slogany obecne w debacie publicznej, należałoby uznać, iż żyjemy w demokratycznym raju. „Społeczeństwo obywatelskie”, któremu poświęcono tysiące rozpraw, analiz, artykułów, wykładów i przemówień oraz miliony złotych, euro, dolarów i innych walut w postaci dotacji na jego „krzewienie” czy „propagowanie”, ma się znakomicie na gruncie teoretycznym. W praktyce – niekoniecznie.

Jeśli odrzucimy życzeniowe zaklęcia, a zejdziemy na twardy grunt faktów, może okazać się, iż w Polsce „społeczeństwa obywatelskiego” właściwie... nie ma. Owszem, mamy przeróżne inicjatywy czy to całkiem oddolne i spontaniczne, czy to na różne sposoby „animowane” i „wspierane” przez rozmaite instytucje, ale trudno mówić o istnieniu silnej, prężnej, utrwalonej tkanki aktywności społecznej. Czy weźmiemy pod uwagę frekwencję w wyborach władz różnych szczebli, czy częstotliwość uczestnictwa w działaniach organizacji pozarządowych, czy udział w życiu takich podmiotów, jak choćby spółdzielnie mieszkaniowe (w tego rodzaju lokalach zamieszkuje wszak kilka milionów Polaków), nasz kraj sytuuje się zazwyczaj w końcówce państw Europy.

Można to oczywiście wyjaśniać na wiele sposobów, poczynając od zaszłości historycznych, przez brak ukształtowanej „kultury obywatelskiej” oraz zjawiska kulturowe (zachłyśnięcie się konsumpcjonizmem) i ekonomiczne (walka o przetrwanie ogranicza możliwość innej, niepłatnej aktywności), a kończąc na przeróżnych kwestiach patologicznych (lokalne czy „branżowe” sitwy, które zniechęcają do działania, konserwując status quo) czy natury systemowej, jak niedorozwój instrumentów udziału w życiu publicznym lub brak przełożenia postaw ludzkich na decyzje i procesy społeczne (modelowym wręcz przykładem „dezaktywacji” społeczeństwa może być niedawne całkowite zlekceważenie 1,5 miliona podpisów obywateli pod żądaniem

referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego). Tak, wyjaśniać można, a nawet trzeba, aby nie popaść w ton narzekactwa i kompleksów spod znaku wywodów, że Polacy są tacy straszni, nie to co ci wspaniali ludzie na Zachodzie, ulepieni jakoby z lepszej gliny. Jednak nam potrzeba nie tylko wyjaśnień, ale przede wszystkim zmiany niekorzystnych trendów.

Tymczasem jak na dłoni widać, że ze wspomnianej wielości odgórnego wspierania i animowania społeczeństwa obywatelskiego, zazwyczaj odbywających się w ramach kolejnego unijnego, ministerialnego czy jeszcze innego „priorytetu działania” (sam ten bełkot skutecznie zniechęca do aktywności), wynika doprawdy niewiele, szczególnie gdy chodzi o inicjatywy i postawy długofalowe, autentyczne i „żywe”. Świadczą o tym zarówno wspomniane kiepskie wskaźniki zaangażowania społecznego w Polsce, ale także szara rzeczywistość tzw. sektora pozarządowego. Kto choć otarł się o ów świat, częściej dostrzeże w nim marazm, rutynę i poczynania dostosowane do oczekiwań aktualnych sponsorów, niż faktyczną energię i kreatywność różnych środowisk. Skąd się zatem mają brać obywatele?

Odpowiedzi jest wiele, zresztą nasze czasopismo podejmuje tę tematykę – również w obecnym numerze – wielostronnie i konsekwentnie od lat. Warto jednak przywołać taką płaszczyznę formowania postaw pro publico bono, która jest zarazem wręcz oczywista, a jednocześnie w Polsce AD 2012 niemal zupełnie zaniedbana lub sprowadzona do postaci atrapy. Mam na myśli kształtowanie etosu zaangażowania społecznego, aktywności obywatelskiej od momentu, gdy człowiek może świadomie przyswajać takie wartości. Mówiąc krótko – chodzi o samorząd uczniowski.

W niniejszym numerze przypominamy, że jest to zjawisko o głębokich korzeniach, rozwijające się dynamicznie wiele lat temu i angażujące wysiłki mnóstwa osób, w tym nierzadko postaci naprawdę wybitnych. To zresztą kolejny paradoks. Żyjemy w czasach, które traktujemy jako niezwykle

demokratyczne i liberalne w rozumieniu społeczno-politycznym, nierzadko przeciwstawiając je niegdysiejszym „ciemnym epokom”. Jednak nasze zadowolenie jest zazwyczaj mocno na wyrost. Nawet jeśli wiele rozwiązań formalnoprawnych i instytucjonalnych stanowi dziś oczywistość i korzystamy z nich chętnie, to niemal zupełnie zatraciliśmy postawę wykraczającą poza to, co jest. Status quo uważamy za najlepszy system z dotychczasowych, albo wręcz za optymalny, sądząc, że właściwie wszystko już osiągnięto. Spoczęliśmy na laurach organizacyjnych i politycznych, a nawet intelektualnych.

Pomijając niewielkie środowiska apologetów myśli utopijnej, a skompromitowanej, jak komunizm, główny nurt kultury politycznej jest niezwykle konserwatywny. Konserwatywny w tym sensie, że poza innowacjami technicznymi nie pojawia się niemal żadna świeża i szerzej zakrojona koncepcja, która mówiłaby na przykład to, że wcale nie osiągnęliśmy optimum i że w kwestii takich wartości, jak demokracja-ludowładztwo, jest mnóstwo obszarów i dziedzin, gdzie można by dokonać znacznie więcej. Jeśli takie projekty i pomysły są dyskutowane, to w środowiskach marginalnych, zaś wszyscy „poważni ludzie” odzégnują się od czegokolwiek, co mogłoby choć trochę ożywić obecny skostniały system.

Dlaczego o tym wspominam? Ponieważ samorząd uczniowski należał niegdyś do tych konceptów, które wydawały się oczywiste nie tylko adeptom myśli, nazwijmy to ogólnie, postępowej, ale w zasadzie wszystkim stojącym na gruncie takich wartości, jak zaangażowanie obywateli w losy wspólnot lokalnych, regionalnych i narodowych czy państwowych. Natomiast dzisiaj w Polsce, jeśli samorząd uczniowski występuje, to zazwyczaj jako rutynowa atrapa – odbywają się wybory do samorządu szkolnego i na stanowisko „gospodarza klasy”, ale są to zazwyczaj „posady” reprezentacyjne lub z bardzo ograniczonym zasobem kompetencji decyzyjnych, w dodatku dotyczą wybranych jednostek, prawie nigdy nie stając się zaczynem postaw zbiorowych. Więcej w tym zabawy i „konkursowości” niż – dostosowanych do wieku i

poziomu rozwoju uczniów – prób ukształtowania w społeczności szkolnej ducha demokracji, zaangażowania, odpowiedzialności za wspólne dobro.

Dawne formy rozwoju samorządu uczniowskiego wynikały z oczywistej konstatacji: jeśli mamy wyrobić nawyki i postawy obywatelskie, to należy zacząć możliwie wcześnie oraz na takim gruncie, gdzie każdy, nawet pozbawiony szerszych horyzontów czy zainteresowań, może poznać i zrozumieć ich znaczenie dla samego siebie i wspólnoty, z którą jest związany. Czy był to żarliwy lewicowy utopista, czy stateczny centrysta, a nawet prawicowy wielbiciel „ładu i porządku”, rozumieli oni, że kształtowanie postaw prospołecznych u ludzi dorosłych będzie w wielu przypadkach już spóźnione i nieefektywne. W dodatku rozumiano, że państwo naprawdę demokratyczne nie polega li tylko na ustanowieniu praw, spisaniu zasad i epatowaniu wzniosłymi hasłami, lecz stanowi przede wszystkim efekt faktycznych postaw społecznych. Postawy te zaś nie biorą się znikąd. Stąd też samorząd uczniowski nie był traktowany ani jako dziwactwo, ani jako niezobowiązująca zabawa. Mnóstwo poważnych osób i instytucji traktowało go jako najlepszą szkołę demokracji „dorosłej”. Trawestując słynną maksymę, rozumiano, że takie będą Rzeczypospolite, jakie młodzieży wychowanie w duchu samorządności.

Przypominamy trzy teksty dotyczące tej tematyki. Józef Wójcik, czynny pedagog, kierownik szkoły powszechnej nr 29 w Warszawie, definiuje podstawowe cele samorządu uczniowskiego. Choć zamieszczony przez nas fragment jego obszernej rozprawy ma charakter teoretyczny, stanowisko autora jest pokłosiem zaawansowanej praktyki. Cały tekst opisywał bowiem 8-letnie dzieje samorządu, i to w szkole grupującej głównie młodzież ze środowisk „trudnych” i „zaniedbanych”, a mówiąc wprost – z ubogich rejonów warszawskiego Powiśla. Nie są to więc mrzonki lekkoducha, lecz efekt przemyśleń na bazie bardzo konkretnych, nieraz niełatwych doświadczeń. Ich autor mówi nam przede wszystkim, że choć samorząd uczniowski nie jest (jeszcze)

powszechnie stosowany, to bez jego wcielenia w życie wśród ogółu szkół trudno będzie o wyrobienie postaw obywatelskich w Polsce.

Kolejny tekst, Adolpha Ferriere, przedstawia natomiast wybrane przykłady zastosowania idei samorządu w szkolnictwie kilku krajów, na które Polacy zazwyczaj są zapatrzeni jeśli chodzi o trendy kulturowe i społeczne. Ferriere, wybitny szwajcarski pedagog, wtedy i dzisiaj zaliczany do grona najważniejszych postaci w dziedzinie rozwoju oświaty, opisuje pokrótce najciekawsze lub prekursorskie przykłady samorządu uczniowskiego, opatrując je także uwagami natury ogólnej, wykraczającej poza kontekst opisywanych krajów. Z jego dzieła, liczącego ponad 250 stron drobiazgowych opisów samorządności szkolnej w wielu państwach i typach placówek edukacyjnych, mogliśmy przedrukować zaledwie drobny wycinek, jednak i on mówi, że wdrażanie uczniów w postawy obywatelskie i prospołeczne nie było jakąś fanaberią czy dziwacznym eksperymentem, lecz znaczącym ruchem społecznym o wartościowych rezultatach.

Trzeci tekst, autorstwa Adama Zieleńczyka, dotyczy polskich realiów samorządu szkolnego. Z obszernej rozprawy wybraliśmy fragmenty streszczające najważniejsze wyniki badań. Otóż na przełomie lat 20. i 30. Międzynarodowe Biuro Wychowania w Genewie prowadziło w krajach Europy badania ankietowe systemu edukacji. W Polsce objęto nimi aż 400 szkół różnego typu, a zebrane wyniki pozwoliły Zieleńczykowi na szeroką analizę zjawiska. Otrzymujemy zatem w efekcie swoisty reflektor skierowany na to zjawisko, jego skalę i efekty – mówią one m.in., że efekty wprowadzenia samorządu były zazwyczaj bardzo pozytywne.

Dwie kwestie warto podkreślić. Po pierwsze, samorząd był naprawdę samorządem. Każdy z autorów podkreśla, że nie chodzi tutaj o odgórne wpojenie uczniom jakichś zasad i przekonań. Nie jest „wkuwanie” na podobieństwo przyswajania wzorów matematycznych czy reguł gramatyki. Jest to demokracja na

serio, samorządność posunięta jak najdalej tylko pozwalają ramy społeczności szkolnej; mamy tu wręcz przestrogi przed niepotrzebnymi, paternalistycznymi ingerencjami w to, jak dzieci i młodzież będą się rządzić. Widać zatem, że samorząd uczniowski nie był traktowany przez pedagogów instrumentalnie. To, co rzuca się w oczy, zwłaszcza na tle dzisiejszego skostnienia instytucji oraz pesymistycznej oceny ludzkich skłonności, jest otwartość na nowe formy, akceptacja swobody, a także wiara, że mimo błędów i trudności młodzież dzięki takim nowatorskim pomysłom „wyjdzie na ludzi” bez konieczności stania nad nią z kijem, marchewką i zestawem paragrafów.

Druga kwestia warta podkreślania, choć już wspominałem o niej, dotyczy statusu takich inicjatyw. Jeśli dzisiaj pojawia się cokolwiek nowatorskiego, możemy być pewni, że wywodzi się ze środowiska takiej czy innej „niszy”, że stoją za tym jacyś, sympatyczni zazwyczaj, ale dziwacy, którym otoczenie pozwala na intelektualne „zabawy”, lecz traktuje to z przymrużeniem oka. Tymczasem około 80 lat temu, bo mniej więcej tyle liczą zamieszczone tutaj teksty, za pomysłami takimi jak autentyczny samorząd uczniowski stały poważne osoby i instytucje. Jak wspominałem, profesor Ferriere, jakkolwiek innowator społeczny, traktowany był z wielkim respektem już wtedy. Polska edycja jego książki ukazała się w prestiżowej serii przekładów zagranicznych dzieł wybitnych pedagogów, nakładem dużego, renomowanego wydawnictwa. Tekst Józefa Wójcika, będącego – jak wspominałem – kierownikiem stołecznej szkoły, opublikowano w zbiorze wydanym nakładem oficyny należącej do największego związku zawodowego nauczycieli, a cały tom przedmową opatrzył wybitny pedagog prof. Bogdan Nawroczyński, wówczas kierownik Katedry Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. Z kolei Adam Zieleńczyk zamieścił swoją rozprawę w fachowym czasopiśmie naukowym, a sam na co dzień był nie tylko profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej, ale także pracownikiem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, czyli odpowiednika dzisiejszego MEN-u. Widzimy zatem, że było to zjawisko poważne i popierane przez kluczowe

instytucje „branżowe”. Potwierdza to moją powyższą opinię, że właśnie wtedy, w epoce postrzeganej dzisiaj nierzadko jako „ciemna”, było więcej nowatorstwa, odwagi i postępu niż obecnie, gdy przekonani jesteśmy o swojej nowoczesności i oświeceniu. Zarówno my, jak i teraźniejsza polska szkoła wypadamy na tle czasów sprzed kilku dekad jako „ciemnogród”. Czas to zmienić. Zacznijmy od dziecka.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Nowy Obywatel](#)